Nr. 6. **Kraków 3 listopada 1866.** **Rok I.**



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w.a. **Mody i kroje** *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.

Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. mikolajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém.

W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

Od Redakcyi.

☞ Rozsyłkę **mód i krojów**, przypadających na listopad, musieliśmy odłożyć do następnego numeru, albowiem takowe odbijają się za granicą, a ruch pociągów towarowych na kolejach, jest z powodu transportów wojskowych tak utrudniony, że niektóre przesyłki już od miesiąca zalegają.

Prenumeratę na „Kalinę“ dla Poznańskiego i Prus przyjmuje księgarnia Mieczysława **Leitgebera** w Poznaniu, Hotel du Nord. Również i przesyłkę numerów dla wszystkich nowo przybywających Prenumeratorów z tamtąd załatwia taż księgarnia.

Narady kobiet w Lipsku i kongres dla nauk społecznych w Manchester.

Niedawnemi jeszcze czasy wiele robiono wrzawy z tak zwaną emancypacyją kobiet. Im więcéj jednak było hałasu, tém też i prędzéj wszystko przebrzmiało. Ruch ten przesunął się tylko po wierzchu społeczeństwa, oszołomił na chwilę umysły, niezapuszczając się głęboko, albowiem była to budowa na piasku, pozbawiona naturalnéj podstawy. Zerwano z pojęciem rodziny, a przynajmniéj chciano nie zważać na jéj znaczenie, wyzwolić kobietę z węzłów rodzinnych a wprowadzić ją w świat po zadomowy, niezważając na to, czy jéj usposobienie, uzdolnienie i stopień wykształcenia, czy prawa i zwyczaje nie staną tam na przeszkodzie. Ruch ten pozbawiał kobietę stanowiska, jakie dotąd zajmowała w granicach rodziny i domu, a w zamian nie dawał jéj nic, prócz takich teoryj o wolności osobistéj, które w obecnych stosunkach społeczeństwa nawet tolerancyi nie uzyskały. W ten sposób prowadzona rzecz, nie mogła się utrzymać i musiała wziąść inny obrót. Nawet literatura francuska — zwłaszcza powieściowa — która ów ruch popierała, przyjęła inny kierunek, jak to widać np. w ostatnich powieściach pani Sand. Wbrew dawnym uprawnianiom wybujałości serca i życia, odzyskują tam znowu swoje znaczenie i świętość obowiązki rodzinne, domowe; wartość cichego, pracowitego życia odnosi tryumf, i szczęście nie występuje już w formie ciągłego miotania się, ciągłych czarujących upadków i niespodziewanych zmartwychwstań, ale przeważa praktyczne, ludzkie doświadczenie, że im więcéj spokoju i stałości woli, im więcéj dobrowolnych zrzeczeń, a im mniéj wymagań, tém więcéj wewnętrznego zadowolenia, to jest, tém więcéj szczęścia.

Niemniéj jednak prąd ów ponieważ był, musiał mieć swoje powody w rzeczywistych stosunkach, musiał być wywołany potrzebami, których dotąd społeczeństwo nie uwzględniło jeszcze, a które dopiero właściwéj formy dla siebie szukały. I odbył się tutaj ten sam proces, co z każdą nową ideą. Postawiono najprzód teoryją ogólną, która pod wieloma względami była zbyt wybujałą i do stosunków obecnych się nie nadawała. Ale poruszyła umysły, poczęto się głębiéj zastanawiać czy ta teoryja ma prawo bytu i o ile. Porzucono formuły, a wzięto się do praktyki. Niema już nigdzie mowy o zrywaniu z tém, co z natury rzeczy wynika — o zrywaniu z rodziną — nowe wymagania uzupełniające dotychczasowe prawa i stanowisko kobiet, mają być uwzględnione o tyle, o ile nie uwłaczają prawom rodziny i nie gaszą domowego ogniska.

Prawodawstwo w rozmaitych krajach Europy i Ameryki różnemi kieruje się zasadami pod względem kobiet. Najpostępowsze równają je z mężczyznami we wszyst-

kich prawach cywilnych, tj. przyznają im własnowolność i osobowość we wszystkiém, co dotyczy posiadania i zarządzania majątkiem, ważności ich świadectwa w sądzie, itp. przypuszczania do różnych zawodów, nawet w administracyi rządowéj, a tylko praw politycznych, mianowicie: głosu przy wyborach i wybieralności im odmawiają. W mniéj postępowych większe są ścieśnienia. Gdzieindziéj nie myślą wcale o zmianie ustaw, odnoszących się do kobiety, alo o zmianie jéj sposobu wychowania, rodzaju jéj zatrudnień z powodów czysto ekonomicznych; drogość życia, trudność małżeńskiego menażu, szczupły zakres pracy dającéj zarobek kobietom, oto były potrzeby, które tam zajmują umysły.

U nas najmniéj dotąd pod tym względem się zajmowano, żadna teoryja nie miała dotąd nawet na jakiś czas przewagi. Z tego się pokazuje, że nie było u nas rzeczywistéj potrzeby zmiany, bowiem względy ekonomiczne nas do tego nie znaglały, a co się tyczy praw społecznych i politycznych, to kobiety nasze bardziéj niż gdzieindziéj przyszły do ich używania. Nikogo to u nas nie razi, gdy kobiety zajmują się politycznemi sprawami. Doszły do tego równouprawnienia przez czynny udział w sprawach kraju, przez ciężkie trudy i poświęcenia. Moskwa prześladowaniem swojém równouprawniała je. Kiedy wróg w katowaniu nie miał względu na płeć, czyż mogli mężczyzni stawiać różnicę i odsuwać je od udziału? I bardzo trafnie powiada Mickiewicz w czwartym kursie swojéj literatury słowiańskiéj, że kobiety w Polce wyemancypują się najpierwéj, ale nie na podstawie jakichś teoryj wymarzonych, jeno rzeczywiście, w praktyce, a to dla tego, że się emancypować nie potrzebują, bo we wszystkiem razem z mężczyznami biorą udział. Niema u nas nawet wyrazu na ową ułudną emancypacyją. Nam na każdém polu tylu pracowników potrzeba, że nie może ich być nigdy za dużo; a wartość rodziny jest u nas tak potężną dzwignią, że niema obawy, aby mogła osłabnąć, i że kobiety u nas mogłyby o tém zapomnieć.

Niemniéj jednak powinniśmy zwracać baczną uwagę, jaką drogą idzie przemiana stosunków kobiet za granicą, korzystać nam trzeba z doświadczenia drugich i wybierać dla siebie, co rzeczywiście okaże się potrzebném i zbawienném. Może niektóre z tych zmian i u nas okażą się potrzebnemi, nie powinna więc nas ta chwila zastać nieprzygotowanych, nie powinno nam być nic obce, co pod tym względem dokonywa się za granicą.

Oglądając się więc za temi różnemi objawami, wypadnie nam się dziś zatrzymać nad niektóremi chwilami, w których one wyraźnie wystąpiły. Chcemy tu mówić o kongresie dla nauk społecznych, odbytym w Manchester i o konferencyi kobiet w Lipsku. Na obudwóch tych zjazdach zajmowano się stanowiskiem społecznèm kobiet, ale na obydwóch pod innemi względami. I tu i tam kobiety same swoich spraw broniły. (Dok. nast.)

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

To niespodziewane spotkanie zmieszało Annę i Jana. Chorego przeniesiono już do innego pokoju — oni stali jeszcze przed sobą, nie mogąc się zdobyć na słowo, nie wiedząc, jak przemówić do siebie — to pierwsze sam na sam było dla obojga przykre. Przypadkiem wzrok Jana padł na stolik — zobaczył tam swoją fotografią opaloną, przedarty rysunek — to go jeszcze bardziéj zmieszało, był cały w płomieniach, — pragnął teraz, czekał niecierpliwie, by ktoś wszedł, przeszkodził rozmowie, wyrwał go z tego przykrego położenia. Jak na szczęście otwarły się drzwi i wszedł — Maurycy.

Jak wiemy, Maurycy wyjechał do powiatowego miasteczka — tam dowiedział się o owéj katastrofie koło mostu, właśnie trafił na pogrzeb trzech żandarmów. Nikt nie wiedział co się stało z więźniami, przypuszczano, że żywi wyjść nie mogli z téj katastrofy, ale gdzie się trupy podziały, kto je uprzątnął, trudno było dociec. Kryłow wściekał się, zarządził ostre śledztwo, porozsyłał kozaków na wszystkie strony, ale daremno. W parowie na glinie rozmiękłéj znać było wydeptane głębokie ślady nóg; blisko lasu brzeg parowu był oberwany, jakby kto się spinał do góry — na liściach krzaków czerwieniała się zaschła krew — za tym znakiem szli żołnierze aż do drogi przecinającéj las — przy drodze leżało trochę gałęzi świeżo poucinanych; jeden z gajowych przytrzymany wyznał, że nocą koło jego mieszkania przechodziło kilkunastu ludzi obcych, i nie w siermięgach ubranych, że nieśli coś ciężkiego, jakby mary przykryte; jakaś kobieta ze wsi za lasem leżącéj doniosła, że jednego dnia przed wieczorem przyszło do niéj dwóch panów, kazali jéj nakupić we wsi chleba, masła, jaj — zabrali to wszystko, zapłacili hojnie i poszli w las. Tyle się dotąd dowiedziano, Kryłow nie ustawał w dochodzeniu, klął i przysięgał się, że dojść musi zguby.

Maurycy dowiedział się o tém wszystkiem urywkowo, nie pytając o nic nikogo, by nie wpaść w podejrzenie u kapitana, któremu się wszyscy podejrzani wydali; zamaskował swój przyjazd innym jakimś interesem w powiecie, załatwił go i po paru dniach wyjechał napowrót do domu. Naglił woźnicę by przyspieszał, jakoś mu tęskno było za domem, za żoną, wyrzucał sobie, że ją tak zostawił nie pożegnawszy, nie powiedziawszy gdzie jedzie — owe podejrzenia, które go dawniéj tak trapiły, zmalały teraz niesłychanie w jego oczach, dziwiło go, jak mógł być zazdrosnym o czło-

wieka, co na chwilę zjawił się i przepadł na zawsze i nigdy mu w drogę nie wejdzie; jak mógł pomieszanie żony brać za symptom jakiegoś innego uczucia. Chciał jak najprędzéj przebłagać ją, przeprosić — szczęście domowe uśmiechało się do niego z daleka, serce biło mu z radości gdy wjeżdżał już do wsi swojéj. Nie kazał zajeżdżać przed ganek, wysiadł przy bramie i poszedł piechotą ku dworowi, chcąc niespodziewaném zjawieniem się zrobić niespodziankę żonie. Z uśmiechem na ustach otworzył drzwi — i stanął osłupiały — zobaczył Annę i Jana zmieszanych, zapłonionych, otwarte okno, w pokoju nieład. Krew uderzyła mu do głowy, potém zbladł okropnie, rysy twarzy pogodne, uśmiechnięte przed chwilą, zdziczały. Wnet jednak opamiętał się, gniew i oburzenie spętał ironiją.

— A! przepraszam, jestem zbyteczny — rzekł szyderczo i wyszedł.

Po jego odejściu nastało znowu straszne milczenie, tragiczne zawikłanie odjęło przytomność ofiarom. Anna blada i drząca zagryzła boleśnie wargi i ledwo dosłyszanym głosem szepnęła:

— Zostaw mnie pan samą.

Jan jak posłuszny niewolnik oddalił się. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, rzuciła się bezwładnie na krzesło, załamała ręce nad głową i oczy zdziczałe z przerażenia wbiła w ziemię.

Za drzwiami w pokoju chorego słychać było łoskot — brzęknęły szyby u okna, ktoś tamtędy wychodził. Nagle rozległ się silny głos syberyjczyka:

— Janie! Janie! gdzie ty idziesz?

Równocześnie dało się słyszeć szamotanie i ten sam głos ochrypły, rozstrojony gorączkowém obłąkaniem odezwał się znowu:

— Zostań, ty nie możesz mnie porzucić. Nieszczęście przykuło nas do jednéj sztaby żelaznéj i pędzi nas razem w mroźny Sybir boleści. Musimy się mścić, okrutnie się pomścimy. Jego syn wydarł ci bóstwo twoje, tak jak on mi wydarł moje. Tyś ją tak kochał — złamała cię nie — wia — rą. —

Jakaś ręka musiała zatykać usta krzyczącemu, bo dalsze słowa wychodziły bezładnie, urwane. Anna zerwała się i uciekła do innego pokoju — te krzyki pędziły ją jak Erynije. W pokoju syberyjczyka uderzyło coś silnie o podłogę, jakby upadający człowiek — Jan szarpnął się i siłą wydarł się z jego rąk, dopadł okna i skoczywszy w ogród, zmierzał ku lasowi za swymi towarzyszami. Już był blisko parkanu, gdy nagle ktoś schwytał go silnie za piersi i głosem stłumionym od gniewu i wzruszenia zasyczał:

— Stój!

Jan poznał w napastniku Maurycego.

— Czego pan chcesz odemnie? — zapytał.

— Twego życia.

— Ono teraz nie do mnie należy. Kiedyś będę mógł może żądać od pana rachunku za tę chwilę. A teraz precz. —

To mówiąc, odtrącił go pogardliwie na bok z taką siłą, że wątły Maurycy zatoczył się kilka kroków i upadł plecami między krzaki.

Jan tymczasem wspiął się na parkan

— Podły tchórz! — zawołał Maurycy, zerwał się z ziemi i strzelił za uciekającym.

Z drugiéj strony parkanu coś jęknęło.

Maurycy wzburzony cały, dyszący jeszcze wściekłością, w poszarpanym bezładnym ubiorze wracał ku dworowi. Przez otwarte okno słychać było krzyk syberyjczyka i gwałtowne szamotanie się jego. To było zagadkowém dla niego, zdziwił go krzyk jakiegoś obcego człowieka w jego domu. Wszedł do swego pokoju i zadzwonił na służącego.

Wszedł Mateusz.

— Kto tak hałasuje po nocy? — spytał.

— Jakiś człowiek chory.

— Obcy? Kto go tu przyjął?

— Pani.

— Karczmę mi robią z domu — rzekł półgłosem Maurycy.

Znowu ten sam krzyk obił się o jego uszy — Maurycy stanął i słuchał — ten głos nie był mu obcym — usiłował sobie przypomnieć gdzie go słyszał, ale napróżno. Poszedł więc do pokoju chorego, który z głową obandażowaną, obłąkanemi oczami, zaciśniętemi pięściami rzucał się po łóżku. Maurycy poznał syberyjczyka. Człowiek, którego szukał, który miał w swoim ręku tajemnicę zbrodni jego ojca, znajdował się pod jego dachem. Rad był temu przypadkowi, dawał on mu sposobność dowiedzenia się prawdy i nagrodzenia krzywd ojca lub pomszczenia się za obelgę. To też wszelkiemi staraniami otaczał chorego i od tego czasu często go odwiedzał. Samotność straszyła go przykremi myślami, dłuższéj rozmowy z żoną unikał, skwapliwie więc zajął się chorym i całe prawie dnie przy jego łóżku przesiadywał.

Chory powoli przychodził do zdrowia i do sił, przytomność wróciła całkiem i nieraz długie prowadzili ze sobą rozmowy. Syberyjczyk nie wiedział u kogo znalazł gościnę i opiekę — Maurycego bowiem nigdy przed tém nie widział, równie jak jego żony — a Maurycy uważał za stósowne, nie oświecać go w tym względzie.

Jednego dnia Maurycy wrócił późno do domu — zastał chorego siedzącego już w jadalnym pokoju (bo już wstawał i przechodził się po pokoju) czytającego gazety. Syberyjczyk przywitał wchodzącego przyjaznym wyrazem twarzy.

— Gdzież tak długo bawiłeś? siadaj tu obok mnie — jakoś stęschniłem się za tobą, bo... bo przywiązałem się czegoś do ciebie.

Tu uścisnął jego rękę.

— Dziwny mój los — mówił daléj — kiedy najbliżsi krewni są mi wrogami, u obcych znajduję życzliwą pomoc i serce; obcych muszę błogosławić, a swoich przeklinać.

Maurycy zmieszał się na te słowa.

— Za co przeklinać?

— Za co?

Przypomnienie rozogniło twarz syberyjczyka, w oczach przelatywały błyski gniewu.

— Za co? O! potwory niszczyć trzeba. — Ale nie mówmy teraz o tém; to mnie drażni, wścieka. Przyjdzie godzina, kiedy jak anioł zemsty stanę przed nimi, a wtedy biada im. Cała rodzina odpowie mi za moją krzywdę.

Tu zatrzymał się chwilę, jakby się nad czemś namyślał, potém mówił niby do siebie:

— Nie, nad nią możebym się mścić nie umiał. — I co ona winna, że mnie kochać nie mogła? Ale że poszła za niego właśnie, za tego łotra — to urągowisko straszne. Nie, wszyscy winni.

Tu silnie uderzył pięścią o stół. Maurycy słuchał ze spuszczoną głową, z twarzą rozpaloną od wstydu, słuchał jak winowajca wyroku.

Wniesiono światło i podano herbatę.

— Pani nie przyjdzie? — spytał Maurycy służącego.

— Pani chora — odrzekł Mateusz głosem, w którym znać było skargę i wyrzut.

— Niech Walenty zaprzągnie i jedzie po doktora — rzekł Maurycy spokojnie, zimno.

Po odejściu lokaja, syberyjczyk odezwał się:

— Nie rozumiem cię mój młody przyjacielu, ty taki dobry, taki człowiek z sercem — niemasz serca dla jednéj istoty, która może najbardziéj na to zasługuje. Daruj że ci to mówię, że wglądam w tajemnice waszego domu — ale mnie bardzo martwi i obchodzi, że ludzie, którzy mogliby sobie raj stworzyć na ziemi, żyją tak, jak wy żyjecie. Nie wchodzę w to, co jest między wami, ale zdaje mi się, że wina jest po twojéj stronie — twoja żona to zacna kobieta — jakaś troska ją trawi, więdnieje w oczach, ty zdaje się nie widzisz tego.

Maurycy słuchał tych słów chodząc po pokoju zadumany, potém stanął koło stołu i regulując machinalnie światło lampy, mówił:

— Nie wiem po czyjéj stronie wina, możeśmy się obydwoje zawiedli. Dość o tém.

Rzucił się na kanapę i długo tak siedział zamyślony. —

Syberyjczyk nie badał więcéj. Nie długo potém rozeszli się na spoczynek. Maurycy nie poszedł jednak do siebie. Cicho na palcach zbliżył się do drzwi sypialni żony — w pokoju słychać było ciche, tłumione jęczenie chorej. Maurycy wsparł się o ścianę i słuchał i nie odchodził. Kto wie jakie tam męki, myśli szarpały jego duszę, może gwałt sobie zadawał nie wchodząc do jéj pokoju, może go ta obojętność wiele kosztowała. Wiemy przecie, że ją kochał.

Turkot bryczki obudził go z zamyślenia — to zapewne doktor zajechał — Maurycy postąpił ku bramie na jego powitanie. Zdziwił go łoskot zbyt głośny na kurytarzu, więcéj ludzi widać wejść musiało, jakiś brzęk dał się słyszeć, służący wyszedł ze świecą z kredensu, Maurycy przy tém świetle zobaczył niebieskie żandarmów mundury. W téj chwili przyszedł mu na myśl syberyjczyk, skoczył do pokoju, zamknął drzwi od sali jadalnéj, wpadł do swego pokoju, chwycił pistolet ze ściany, zamknął drugie, trzecie drzwi za sobą. Z domu swojego zrobił chwilowo fortecę — wpadł wreszcie do pokoju syberyjczyka i tu drzwi zamknął — szło mu bowiem o zyskanie na czasie.

Syberyjczyk już usypiał. Zbudził go i kazał mu się ubierać co prędzéj.

— Co się stało? —

— Żandarmy są już w domu, zdaje się, że ciebie szukają, niema czasu do stracenia. Jeżeli nie obsadzili wszystkich wyjść tędy uciekać możesz do lasu — tam będziesz bezpieczny.

W domu zrobiła się wrzawa i hałas, żandarmi wyłamywali drzwi. Już tylko dwa pokoje dzieliły ich.

— Zapóźno — rzekł syberyjczyk.

— Nie, pozamykałem drzwi, nie prędko się dobędą.

— Zgubisz siebie.

— Ale ciebie ocalę, ja ci bardzo wiele dłużny, spiesz się — oto rewolwer, gdyby ci zastąpił kto drogę.

Syberyjczyk wysunął się drzwiczkami na ogród — Maurycy zamknął drzwi, usiadł na łóżku i czekał spokojny z rezygnacyją. Niezadługo ostatnie drzwi runęły z łoskotem, po nich jak po pomoście wpadł Kryłow rozjuszony, trzęsący się z wściekłości — za nim żandarmy.

— Ha buntowszczyk. Gdzie on?

— Kto? — spytał Maurycy, patrząc spokojnie, z pogardą na zwierzę umundurowane.

— Ty wiesz kto s.......? — i uderzył go w twarz. Maurycy wstrząsł się z oburzenia, chciał się rzucić na niego, gdy w téj chwili żandarmy pochwycili go z tyłu i spętali. Kilku pobiegło w ogród.

— Ty za niego wisieć będziesz — krzyczał Kryłow pieniąc się ze złości — jeżeli się nie znajdzie.

Wtém w sieni rozległ się krzyk przeraźliwy, bolesny, przejmujący aż do kości. Wszyscy się obejrzeli. Anna otulona w szal, przerażona, bielsza od koszuli, co jéj z ramion spadała — wpadła do pokoju i rzuciła się ku mężowi.

— Maurycy, co się to stało? — zawołała głosem pełnym miłości i przestrachu i uczepiła się rąk jego — czego ci ludzie chcą od ciebie — puszczajcie go!

Oczy Kryłowa zaświeciły się lubieżnie — chwycił w pół nieubraną i odciągał ją od męża.

— Pani się zaziębi — rzekł katownik z galanteryją — a to szkoda tak pięknéj osoby — roznamiętniła go piękność i pocałował ją w szyję.

Chora pasowała się z kapitanem, usiłując się wyrwać z jego rąk. Niewolnik związany patrzeć musiał na tę scenę z pomarszczonem czołem, zaciśniętemi z boleści ustami i nie mógł dać pomocy zelżonéj. Z wysilenia omdlała Anna i bezwładnie przegięła się na rękach kapitana, szal opadł jéj z ramion — Moskal pastwił się widokiem téj kobiety. Maurycy szarpnął się i wyrwał z rąk trzymających go żandarmów, poskoczył naprzód i kopnął nogą kapitana.

— Bierzcie go — zawołał Kryłow z wściekłością.— Będzie wisiał.

Żandarmy powlekli więźnia — hałas odchodzących ocucił leżącą — podniosła się, chciała lecieć, siłą ją opuściły i upadła z łoskotem na ziemię — żona niewolnika.

(Ciąg d. nast.)

Modlitwa wiosenna.

Bóg jest w niebie — ludzie są na ziemi,
Ja z méj celki jakby w tęczę złotą
W jasny lazur, w świat ten ubarwiony
Patrzę — i w dzień i w nocy z tęsknotą.

Ziemia cudna, niebo takie cudne,
Myślę w duszy co wybrać dla siebie,
Kiedy niebo zda się być na ziemi,
Kiedy cała ziemia jakby w niebie.

Lecz nie dla mnie niebieskie jasności,
Ani ziemskie boje i uciechy,
Na mą ziemię zejść nie dadzą wrogi,
A do nieba wyjść nie dadzą grzéchy.

Ojcze mój — ulituj się nademną,
Daj mi wolność, daj mi łaskę twoją,
Duszę moją niech opuszczą grzechy —
Niech opuszczą wrogi ziemię moją.

Cytadela r. 1865. K.

STANISŁAW MONIUSZKO
w świecie muzycznym.

przez *St. Duniecklego.*

(Dokończenie.)

Napisał jeszcze Moniuszko trzy opery, z których dwie „Hrabina“ i „Straszny dwór“ z wielkiém powodzenie dawano w Warszawie. Nie są nam dostatecznie znane, byśmy swobodnie o nich orzec mogli; ale osobliwie „Straszny dwór“ zjednał sobie powszechne uznanie. Trzecią operę „Rokiczanę“ do słów Korzeniowskiego, przed przedstawieniem w Warszawie zakazano.

Jedném z największych dzieł Moniuszki, są jednak niezaprzeczenie „Dziady“. Myśl oryginalna napisania muzyki do poematu Mickiewicza w formie *oratorium,* — pełno głębokich pięknych myśli, równych zaprawdę słowom poety, zjednało „Dziadom“ miejsce między najpierwszymi tego rodzaju utworami nietylko w Polsce, ale i w całym muzycznym świecie.

Jeżeli w „Verbum nobile“, „Hrabinie“ i „Strasznym dworze“ wprowadził nas Moniuszko w świat polski, szlachecki z dewizą: „i do tańca i do różańca“ — malując z całą śmiałością i prawdą wyraz téj dziwacznéj choć dzielnéj epoki, to w „Dziadach“ jesteśmy w czasach prawie sławiańskich, muzyka odkrywa, wiernie charakteryzując słowa, cząstkę czasów pogańskich, choć osłonionych chrześcijańskim duchem.

I „Dziady“ dzisiaj są między ludem, nie znajdzie tam jednak owéj sielskiéj prostoty, która tak cudnie występuje w „Halce“, mianowicie w akcie 3cim w „Dziadach“ Moniuszko przybrawszy formę *oratoria*, rozszerzył działanie muzyką równie głęboką jak umiejętną, unikając jednak starannie niepotrzebnéj gmatwaniny i niejasności. Słyszane w sali koncertowéj bez wystawy, bez odpowiedniego otoczenia, „Dziady“ robią na słuchaczach potężne wrażenie samą siłą swéj wielkiéj muzyki.

Innym jeszcze skarbem wzbogacił Moniuszko polską muzykę swemi śpiewnikami domowemi. Pieśń płynąca z serca, choć w skromnéj swéj szacie, wywiera niezaprzeczenie największy wpływ na ogół narodu — z pieśni wyradza się prawdziwy styl muzyczny, noszący cechę swéj narodowości — tworzyć więc pieśni jak Moniuszko, pełne uroku i prawdziwéj wartości, jest zasługą położoną około muzycznego wykształcenia ludu. Pieśniami swemi utorował sobie Moniuszko drogę do pojęcia swoich oper. Pieśń jest wieczna, a gdy inne formy przobrażają się lub giną, ona jedna od wieków jest ta sama i wieki jeszcze żyć będzie, bo pieśń jest duszą, najgłębszym wyrazem całéj muzyki. Pojął to dobrze Moniuszko, nie wzgardził nią, ale podniósł do właściwéj potęgi i rozwinął — równie jak Schubert w Niemczech — nienaruszając jéj prostoty.

Gdy spojrzymy teraz jak wszechstronnie niezmordowanie Moniuszko pracował na niwie narodowéj, popierany swoim jeniuszem — nie będziemy się wahali postawić go na czele muzyki polskiéj jako jéj reprezentanta w poczcie kompozytorów europejskich.

Widzieliśmy już podobieństwo między „Halką“ a ustępami „Freischütza“, rzeczywiście zajmuje Moniuszko w naszym kraju miejsce, jakie oddawna zajął w Niemczech Weber. Muzyka niemiecka nawet eszcze za czasów

Mozarta, pod wpływem włoszczyzny, dopiero potęgą jeniuszu Webera wyłamała się z niego i nabrała cechy czysto narodowéj, jedynie nieśmiertelnéj; — od czasu Webera Spohr, Marschun a dzisiaj Wagner rozszerzyli i ustalili jego idee, które tak jasno wypowiedział w „Freischützu", a mianowicie w „Euriante", tym pięknym kwiecie czystéj, prawdziwéj ramantyki niemieckiéj. Jak we Francyi Auber wylał na papier arcydzieła, napiętnowane francuskim dowcipem — *esprit* — i delikatnością odcieni właściwą Francuzom; — tak we Włoszech Bellini wzbogacił naród swój skarbem narodowéj melodyi, pełnéj namiętnéj melancholii i ognia; tak i Moniuszko wlał w swoją muzykę rzewność i smętność bez sentymentalizmu, odznaczającą nasz lud. Ale o ile większą położył zasługę Moniuszko, ocenią nasze czytelniczki, gdy sobie przypomną z przeszłych numerów, jak nierozwiniętą, niemal nieistniejącą znalazł Moniuszko polską muzykę. Czcić więc i kochać powinniśmy mistrza naszego, jak go już czci i kocha Warszawa, a jak go niezawodnie oceni przyszłość. A jednak dbały tylko o swój naród, pisząc tylko dla niego Moniuszko, zajmuje teraz już nietylko u nas tak chlubne miejsce.

W chwili, gdy każda narodowość usiłuje podnieść swą indywidualność, wszechstronne wykształcenie narodu stało się koniecznością, dla tego powinniśmy być dumni, że i w muzyce możemy się poszczycić kompozytorem, który jéj u nas nadał prawo do wystąpienia śmiało w szranki z zagranicą, podniósłszy szczęśliwą ręką sztandar narodowéj muzyki polskiéj, którą niemal stworzył i w którą wlał duszę, zaczerpnąwszy z odwiecznych skarbów pieśni ludowéj. A idąc z ludem, pisząc dla niego, przyjmując jak w „Halce" jego skargi i cierpienia, Moniuszko długo żyć będzie — tak długo, jak poczciwe polskie serca bić będą; tak długo, jak tylko iskra naszéj narodowości nie zagaśnie!

Z PRZYRODY.

Świat podwodny morski i jeziorny.

(Ustęp z księgi świata roślinnego, przez Dr. *Karola Müllera.*)

(Ciąg dalszy.)

Podobnie działają i Wodorosty w świecie podwodnym jezior, a nawet jeszcze znaczniéj prześcigają w tym względzie Pierworośla.— Wodorsty składają się ze spojonych i rozmaicie rozgałęzionych rureczek, i występują, jak już wspomniano, w postaci przędziwa zielonego. Zapełniają wody Zielenicami (Glonami, Confervae), Zrostnicami (Zygneuma), Pęcherzycami (Vaucheria), Ramienicami (Chara) i innemi typami Glonów (Wodorostów wód słodkich), a to w postaci gęstéj pilśni, albo Trzęsłami (Batrachospermum) w postaci galarety zielonéj. W takim stanie równie jak Mchy, Trawy i Wrzosiny ochraniają inne wodne rośliny, i dają przytułek licznym zwierzętom. Z drugiéj strony podobnie jak Okrzemki (Baccilariae) przyczyniają się do podwyższenia (umiąższenia) powierzchni ziemi. Posiadają bowiem jak wszystkie rośliny władzę wciągania pokarmu z organicznych i nieorganicznych części, znajdujących się w wodzie, rozkładają sole w wodzie. Tak np. Ramienice (Chara) rozkładają siarczany soli i wydzielają z nich siarkę jako siarkowodor. Przez to bagna stojące tworzą nierzadko tak zwane siarczane źródła. Skoro wysuszymy takie bagno, wtedy znika także ciecz cuchnąca gnilizną i zawierająca siarkowodór, a źródło ginie. Zdarzało się, że siarczane kąpiele, których istnienie zależało właśnie od bliskości takichże wód, utraciły natychmiast swoje źródła, skoro tylko sąsiednie bagna uprzątniono przez niewiadomość. W innych miejscach rośliny wodne, mianowicie Wodorosty, wydzielają węglan wapna. Tak np. dzieje się to w uderzający sposób w baniach solanki w *Nauheym*, jak pouczają R. LUDWIG i G. THEOBALD. Rośliny, które żyją w solance, odbierają dwuwęglanowi wapna jeden atom węglanu, przez co tenże, jako w wodzie nierozpuszczalne wapno, osiada w postaci kredy. Tak samo magnezyja chlorowa zamienia się w węglan magnezyi, która w pojedynczych miejscach osiada z wapnem w postaci dolomitu. W bliskości *Kloppenheym*, w *Wetterawii* znalazł LUDWIG na górze między *Münster* i *Espa* pokład węglanu wapna 10 stóp gruby, właśnie tym sposobem utworzonego. To zwraca uwagę na sposób tworzenia się wapiennych, kredowych i dolomitowych skał, i uprawnia wniosek, że w ich powstaniu małe i krótkotrwałe roślinki prawdopodobnie miały tak samo udział, jak owe zwierzęta, które użyły np. wapna z wody do budowania swoich osłon.

Jest to jedną z największych przyjemności dla miłośnika przyrody, gdy dostrzega, jak w naturze słabe, znikome jestestwo zdoła utworzyć trwałą rzecz, i tém samém człowiekowi za wzór służy. Zresztą nie wolno nam tu przepomnieć, że roślinności jeziorne obejmują także inne rośliny — pływające wodne, na czele których stoją Grzybienie (Nymphaea) i Kosaciec żółty (Iris Pseud-Acorus). Często Wodorosty i inne wodne rośliny pojawiają się w takiéj mnogości, że mogą być przeszkodą w krajowém gospodarstwie. Według spostrzeżeń GÖPERTA Pleśniara mleczna (Leptomitus lacteus) zadała niedawnemi czasy taką klęskę miastu *Świdnicy* na Szląsku. Opowiada, że pół mili powyżéj *Świdnicy* znajduje się w polskiéj *Wistrzycy* fabryka, gdzie wypalają spirytus z burakowéj melasy i spuszczają pozostały gąszcz do młyńskiego rowu, który wpada do Wistrzycy. Od tego czasu — mówi badacz — postrzeżono w wodzie strumyka białe kosmy w takiéj mnogości, że pozatykały rury wodne. W bardzo krótkim czasie woda

przeszła w stan gnicia i stała się do gotowania i prania całkiem niezdatną. Ta masa organiczna sprzyjała rozmnożeniu się owéj Pleśniary tak dalece, że pokryte zostało całkiem dno rowu (6—8 stóp szerokiego), białą, falującą, płatkowatą masą, podobną do wełny, czepiającą się dna. Roślinka ta, lubo składająca się tylko z delikatnych, rurkowatych, bezbarwnych niteczek, zajęła jednak 10,000 stóp kwadratowych obszaru, i tém bardziéj szkodziła, że rozmnażała się nawet w zimie. Ciekawy badacz postrzeże nieraz podobne zjawiska podczas gorących lat na stojących wodach. Te pływające roślinne niwy składają się zwykle z Glonów (Confervae), Wrzeczników (Potamogeton), Wywłóczników (Myriophyllum), Rzęśli (Callitriche), Rogatków (Ceratophyllum). Zdarzyło się w Anglii, że roślina Anacharsis Alsinastrum mnogością swoją utrudniała żeglugę. Pozatykała gęstemi kłębami lotoki śluz, i zmusiła flisaków używać większéj przyprzążki. Te kłęby zapełniały sieci rybaków, rwane prądem albo popychane wiatrem, unosiły ze sobą wędowe haki i sznury. Utrudniają sterowanie, zagrażają nawet pływakowi; bo listki ich opatrzone ząbkami, czepiają się ciała i tamują pływanie. Zatykają zatoki i spusty. Dziwne to zjawisko — dziwniejszy jeszcze jego początek; albowiem tylko jeden egzemplarz, wypielęgnowany w botanicznym ogrodzie w *Cambridge*, sprowadzony z północnéj Ameryki, rozrodził się tak obficie i zniżył stan wody w rzece *Cam* już prawie o jednę stopę. Nie zrozumielibyśmy zgoła tego szkodliwego rozmnażania się, nie wiedząc, że każdy ołamek téj roślinki może wydać nową kolonię, któréj dalsze rozmnożenie przypomina powyżéj wspomniony sposób rozmnażania się Okrzemków (Diatomae). Tém większém niebezpieczeństwem zagraża ów amerykański Przywłoka, zwłaszcza, że nie znaleziono środka wytępienia. Że w takich okolicznościach i ryby wiele ucierpieć muszą — jest rzecz jasna; gdzie takie masy wodnych roślin pokrywają powierzchnią wód, tam trudny jest przystęp powietrza do głębi. Przez to zwierzęta mieszkające w wodzie, pozbawione kwasorodu, nie mogą oddechać, uduszone pływają po wodzie i gnijąc, zapełniają powietrze zaraźliwemi wyziewami, które mogą sprowadzić febrę, a nawet zagrozić życiu człowieka. Taka jest potęga stowarzyszenia znikomych, drobnych jestestw! Jest to zjawisko odpowiednie zjawisku owych budowli Polipów drobnych, o których skały roztrzaskują się dyle najwspanialszych okrętów.

(Dokoń. nast.)

KAPRERA.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.)

(Ciąg dalszy.)

Garibaldi liczy lat 64, mimo tego jest jeszcze w sile wieku, wzrostu średniego, blondyn, oko duże niebieskie, gęsty zarost, dobrze już jest szpakowatym, cera jego blada, fizyonomia wyraża łagodność i energiją, mówi wolno. W mowie jego jest rodzaj deklamacyi pełnéj ognia, a zapaliwszy się w mowie, giestykuluje rękami, mimo to jest nadzwyczaj łagodnym i umiejącym panować nad sobą.

Kto jest świadkiem jego dobroci, cierpliwości, wszystkich rzadkich przymiotów, musi się do niego przywiązać, kto pozna całe jego otoczenie, widzi jak z tak pięknego kształcąc się wzoru, ci ludzie muszą stawść się lepszymi. Mówią o nim, że nie posiada zdolności wojskowych, że się nie rozumie na polityce, lecz on też do tego nie ma pretensyj. Nikt z tych co go bliżéj poznali, nie może powiedzieć, że jest zarozumiałym, że hołdy jakie mu oddają, wpoiły weń jakąkolwiek dumę. Zawsze on pozostaje jednakim, nie dba o żadne dostojeństwa, ciągle swoje życie i spokojność naraża dla uszczęśliwienia narodu, żyjąc z daleka od tych, których szczęście zdziałał.

Kto przypatrywał się dłuższy czas życiu i działalności Garibaldego, przyzna mu, że zna lepiéj od innych serca i usposobienia ludzkie, że umie kłaść wędzidło swawoli ludu i namiętnościom; tworzy ludzi, których nic skazić nie zdoła, nie dozwala im mieć więcéj żądzy jak potrzeb.

Daje we wszystkiem przykład godny podziwienia, usuwając z odzienia swego wszystko co je zdobi, nie ma téż nic w ubiorze, coby różniło oficerów bawiących przy nim. Czerwona koszula z grubéj wełny, pantalony sieraczkowe, pas niebieski w rodzaju szala, na wierzch w razie zimna lub deszczu płaszcz amerykański. Kapelusz czarny kroju jak węgierski, bóty z czerwonéj juchtowéj skóry, służą za ubiór dla wszystkich.

Na Kaprerze nie można się nudzić, zawsze bowiem jest kilkudziesięciu oficerów. Więc polowanie, rybołowstwo, fechtunek, strzelanie do celu, obznajmianie z bronią najnowszych wynalazków, którą Garibaldemu przysyłają z Anglii znajomi jego, zajmuje cały czas. Wieczorami rozmowy, treścią ich nie bywa żaden interes materyalny, ale różne śmiałe zamiary, projekta, nauka wojskowa. Wszyscy słuchają jéj chętnie, te rozmowy poważne przerywają często żarty, zwykle kończy je śpiew i muzyka, któréj Garibaldi jest wielkim lubownikiem. Niema tam nigdy dysput religijnych, bo jak prawie wszyscy wyspiarze, tak większa część bawiących jest prawdziwie pobożną, a ta pobożność jest w uczynkach i w całym sposobie życia, a nie w mowie.

Mimo pogardy śmierci z jaką obojętnie wśród walki widział ginących obok siebie przyjacioł i nad nimi łzy nie wylał, nie wydał nawet westchnienia, ma on najczulsze serce. Pierwszą swą żonę stracił w rewolucyi rzymskiéj, chroniąc się po rozbiciu oddziału, niósł osłabioną na rękach i tak zabiła ją kula, która inaczéj byłaby położyła kres życiu jego. Na imie było jéj Anita. Jeżeli czasem w opowiadaniu kto wymówi to imie, nie może

powstrzymać łez. Razu jednego powracając z polowania, przynieśliśmy zabitą kozę, która musiała mieć młode, bo miała jeszcze mleko; wśród zwykłéj rozmowy jaką co wieczór się zabawialiśmy, posłyszeliśmy w dali na górach beczenie koźlęcia. „To zapewne to młode po zabitéj matce, trzebaby je przynieść, bo zmarnieje“, powiedział. Propozycyją tę przyjęto żartami, on już więcéj o tém nie mówił, zakończono wieczór jak zwykle, a na drugi dzień rano zobaczyliśmy w kuchni młode koźle, po które w nocy sam poszedł i przyniósł.

Z pierwszéj żony miał troje dzieci, dwóch synów i jednę córkę; najstarszy syn jest pułkownikiem, w czynnéj jednak służbie nie jest, bo ojciec uważa stan wojskowy w czasie pokoju za próżny ciężar kraju. Córka jest za mężem, mieszka pod Genuą; najmłodszy syn, mający jedną nogę krótszą, poświęca się chemii, bawi najwięcéj w Anglii. Po wojnie włoskiéj ożenił się Garibaldi drugi raz z córką pewnego markiza znad jeziora Como, z tą jednak nie żyje.

Ożenienie to jest małym romansem. W ciągu wojny, wysunięty z paru tysiącami ochotników po przed jezioro Como, nagle został otoczony od wojsk austryjackich pod dowództwem jenerała Urbana, tak, że musiałby był broń złożyć, bo o obronie nie można było myśleć Wyjść z miejsca, gdzie przebywał, można było jedną tylko ścieżką. Markiz znał tę ścieżkę, którą wyjść można było; wypadek wojny nie mógł być wiadomym, mając u siebie kwaterę wojsk austryjackich, nie śmiał przesłać wiadomości o tém Garibaldemu przez pierwszego lepszego, wysłał więc własną córkę. Ta pod pozorem przejażdżki konnéj, wyjechawszy z domu, dostała się szczęśliwie do obozu, wskazała im drogę, idącą pare tysięcy stóp nad przepaścią, i tém ocaliła wszystkich.

Po ukończonéj wojnie Garibaldi pojechal z wizytą do markiza, by mu za ten czyn prawdziwie patryjotyczny podziękować; odjeżdżając z wizyty, tuż przed tą willą spłoszyły mu się konie, powóz się przewrócił i Garibaldi nogę mocno wywichnął. Musiał w tym domu pozostać i doznawał opieki od téjże saméj osoby, która jego i towarzyszów ocaliła. Chwile spędzane w tym domu, osładzane towarzystwem bohatérki, wywiązały między nią a Garibaldim rodzaj przyjaźni, którą gdy familija panny spostrzegła, skojarzyli małżeństwo; naznaczono dzień ślubu.

Wieść o tém małżeństwie przejęła strachem partyją ruchu, zdawało się niektórym małodusznym, że Garibaldi, łącząc się z familiją markiza, przechodzi tém do obozu arystokracyi, chcieli więc wszelkiemi sposobami projekt tego małżeństwa zerwać. Lombardia pod panowaniem austryjackiém miała liczne załogi kawaleryi węgierskiéj. Między jednym oficerem huzarów a markizanką zawiązał się był dawniéj jeszcze stosunek miłosny, pisywali nawet do siebie listy.. Partyja ruchu wpadłszy na ten ślad, dołożyła starań i doszła do posiadania tych listów, odkryła nawet, że po zaręczynach z Garibaldem, jeszcze odbywała się korespondencyja. Czekali więc na naznaczony dzień ślubu, myśląc o skandalu jaki zrobią, wręczając listy te Garibaldemu.

Dzień tak oczekiwany nadszedł, a nawet z ramienia króla przybył wysłannik do reprezentowania go na tym obrzędzie. Przed samém wyjściem do ślubu, przybywa jakiś jegomość i żąda pomówienia z Garibaldim, oddaje mu te listy, zwraca uwagę na daty pocztowe, opowiada stosunek miłosny między narzeczoną a rotmistrzem. Garibaldi wysłuchawszy go, wziął listy schował i ślub się odbył, jak gdyby nigdy nic nie było zaszło. Po odbytéj uroczystości i obiedzie, nowożeńcy pojechali zaraz. Dopiero z przybyciem do Mediolanu, Garibaldi oddał listy swéj żonie, dając słowo honoru, że ich nie czytał, prosił ją, by mu przebaczyła, że ślub brał, wiedząc, że kogo innego kocha; niemógł jednak inaczéj zrobić, bo trzeba było uniknąć szkandalu, a dowiedział się zaś o tém przed samém wyjściem do ślubu. Prosił daléj żeby się uważała za jego córkę a nie żonę i że może zaraz jechać gdzie chce, on jéj zaś zawsze w każde miejsce gdzie będzie, posyłać będzie pieniądze potrzebne na utrzymanie. Chciała, nalegała nawet, by listy te przeczytał, wzbraniał się i zaraz odjechał, ona zaś udała się do Niemiec.

Ci, co stają w obronie markizanki, utrzymują, że list pisany do owego oficera już po zaręczynach z Garibaldim, mieścił właśnie tę wiadomość: opis szacunku jaki dla niego powzięła i radość, że resztę życia swego będzie mogła poświęcić dla człowieka, który tak wielkie dla kraju położył zasługi. Prosiła następnie dawnego kochanka o zwrot listów, gdyż stosunek z nim dawno już był zerwany.

Mówią ci sami: że ta pani dowiedziawszy się potém, że Garibaldi jest ranny, prosiła o pozwolenie, by mogła przyjechać i mieć staranie o jego zdrowie. Odpisał jéj aby się nie unosiła żadném poświęceniem i że życie na Kaprerze prędko by się jéj sprzykrzyło.

O ile w tych usprawiedliwieniach córki markiza jest słuszności; ile winy w tym stosunku trzeba przypisać uporowi jenerała — nie mogę roztrzygać.

Tyle o markizance — wracam do dalszego opisu pobytu na Kaprerze. (Ciąg d. nast.)

Korespondencja „Kaliny“.

S. R. w P. Jak dogodniéj — pruską monetę przyjmujemy według kursu krakowskiego, jak jest podawany w „Czasie“.

Pani L. K. Drezno. Z powodów nie od nas zależnych, drugi artykuł Pani musiał być odłożony na późniéj.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.

JGNACY

F. GUNIEWICZ

GWIAZDKA NAD POLSKĄ

MAZURKA

na

FORTEPIAN.



Litogr. Czasu' M. Salba
w Krakowie.

GWIAZDKA NAD POLSKĄ.

F. Guniewicz

sp. *Ped.* *Ped.* *pp.* *Ped.*

p. *cres.* *Ped:* *Ped.* *Ped.*

Ped. *pp* *Ped.* *Ped.* *p.*

Ped *Ped.* *sf.* *Ped.* *p.* *Ped.*

8vo
ff. Ped. p. Ped.

8vo 8vo
ff. p. Ped. Ped. ff p. Ped. Ped.

ff. ff. Ped. Ped. Ped. Ped. Ped. ff ff.

Ped. Ped. p. ritt. Ped. Ped. p. Ped. Ped.

Ped. pp. Ped. Ped.

Ped. *sf.*

pp. con gracia

Ped.

Ped.

Ped.

Ped.

Ped.

Ped.

Ped.

pp. unna corda

Ped.

Ped.

Ped.

Ped.

Ped.

ritt....

accellerando

pp.

cresc.

f

Ped.

dim e ritt.

p

pf

ritt.

p con eleganza

Ped.

legiero

Ped.

Ped.

p

Ped.

Ped.

legiero

p

ritt.

Ped.

Ped.

Ped.

Ped.

cresc.
Ped. Ped. Ped. Ped.

pp.
Ped. Ped. Ped.

f
Ped
f.
Ped.
p
Ped

8va 8va
f
Ped.
p
Ped
f p.
Ped.

8va
f
Ped. Ped. Ped.
ff. f.
Ped.

Ped. Ped. Ped. *sf* *f* Ped. Ped.

Ped. *ritt.* *p.* Ped. Ped. *p.* Ped. Ped. *pp* Ped.

Ped. Ped. Ped.

Ped. Ped. *ff* Ped.

sempre ff Ped. Ped.

f

Ped.

Ped.

p

decresc e ritt - - - - - - - - - - - - - - - - *a tempo* - - - - - -

Ped.

Ped.